

# Stanisław Dąbrowski

---

## W sprawie ujęcia zagadnień prasoznawczych w "Edytorstwie" Jana Trzynadłowskiego : (polemika)

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (41), 119-135

---

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Roztrząsania i rozbiory

**W sprawie ujęcia zagadnień prasoznawczych w „Edytorstwie” Jana Trzynadłowskiego (Polemika)**

## 1. Uwagi wstępne

Książkę Jana Trzynadłowskiego czynię teraz przedmiotem uwagi jedynie ze względu na ten wykrój tematyczny, który wskazuję w tytule swej polemiki. Celem moim jest ostrzegawcze uwidocznienie, iż podjęta w tej książce<sup>1</sup> próba określenia gatunku prasowego nie tylko nie anulowała dotychczasowych niejasności, ale nadto przysporzyła wielu nowych, którymi także się zajmę. Koncentruję się na możliwie jak najuważniejszej analizie i krytyce wywodów Autora, ale ubocznie wysuwam też pewne propozycje ujęć odmiennych, zresztą genezą swą ściśle związanych z ujęciami krytykowanymi. Sądzę, że nie tylko wyniki analiz Trzynadłowskiego, lecz także wyniki moich krytyk potwierdzają opinię, że „badania nad gatunkami «prasowymi» są szczególnie złożone i związane z różnorodnymi trudnościami” (56).

Podejmuję (wykrojową) polemikę z treściami i ujęciami podręcznika pomyślanego bardzo szczególnie, gdyż krzyżującego moment praktycznego poradnictwa z momentem teoretycznej inwencji, a także krzyżującego zagadnienia edytorstwa z zagadnieniami językoznawstwa, wiedzy o literaturze, teorii informacji oraz prasoznawstwa. Ta jakość książki bardzo utrudnia proste ustalenie linii problemowych samej polemiki, która — tropiąc *dubia* wyводу podręcznikowego — musi się przecież poruszać torami tego wyводу. Wielokrotnie toczę spór ze sformułowaniami, wynika zaś to z mojego przekonania, że wadliwość *formuł* problemowych bardzo utrudnia, a często wręcz uniemożliwia poprawną problematyzację,

---

<sup>1</sup> J. Trzynadłowski: *Edytorstwo. Tekst, język, opracowanie*. Warszawa 1976. Do stron tej pozycji odnoszą się niemianowane liczby w nawiasie.

tj. stawianie i rozważanie problemów. Na to, aby przebić „grubą deskę” (119) krytykowanego dzieła, „kula” wypowiedzi polemicznej potrzebuje dużej energii, którą nadać jej muszą łącznie masa i prędkość. Polemika szczegółowa z konieczności jest „niepieszna”: a zatem przebija masą. Łatwo będzie spostrzec, że pracę wykonują po trosze tak jak „edytor-wydawca”, tzn. jednocześnie na kilku poziomach badanego dzieła i licząc się z tym, że poziomy te pozostają w związkach różnych oddziaływań wzajemnych, dających w wyniku zawiły idiom dzieła.

## 2. Prasowość — czasopiśmienniczość

Trzynadlowski (dalej: JT) słusznie rezygnuje z metody sprawdzania „prasowości” wziętych z osobna gatunków piśmienniczych i uznaje, że należy wyjść od generalnego określenia gatunku prasowego, wyprowadzając je z pojęcia prasy — podobnie jak pojęcie gatunku literackiego wyprowadzamy z nadrzędnego dlań pojęcia literatury (lub literackości)<sup>2</sup>. Ale, skoro się już posłużył tym podobieństwem (53), powinna go już była obowiązywać zasada tego podobieństwa. Należało o samej literaturze powiedzieć, że dzieli się ona na gatunki literackie, a nie: że jest tworzona z ich sumy. Nadto, samo pojęcie prymarności pojęcia prasy nie przesądza jeszcze sposobu jego rozumienia (rozumienie istotowe czy funkcjonalistyczne).

Wprawdzie JT ma rację, podkreślając nietożsamość „stanu świadomości gatunkowej w okresie powstawania (...) prasy” (53) z naszą retrospektywną interpretacją ówczesnej roli gatunków anektowanych przez rodzącą się prasę, jednak nie można się zgodzić, że „pewne podstawowe gatunki” (przedprasowe, jak rozumiem) stworzyły prasę, a ona z kolei wpłynęła na „ukształtowanie się dalszych gatunków pochodnych” (55—56). Prasę stworzyły przemiany cywilizacyjno-techniczne i kulturowe oraz pochodne od nich nowe potrzeby kulturowo-społeczne. Dla zaspokojenia tych potrzeb sięgnięto po najoperatynwiejsze ze znanych gatunków wypowiedzi informacyjnej (narzucając im nowe funkcje), a także wytworzono nowe gatunki. Pierwsze przystosowano do nowych potrzeb, a drugie wyrosły już z samych tych potrzeb. Przecież tak mówi również JT (51—52). Trudno utrzymywać, że przedprasowe gatunki stworzyły prasę. To funkcja prasowa przetworzyła je w gatunki prasowe. Prasę JT dzieli (nielogicznie) na gatunki *prasowe* i *czasopiśmiennicze* (56), z czego wynika sprzeczność: nieprasowość gatunku prasowego; błąd wynikał z narzucenia terminowi „prasa” dwóch

<sup>2</sup> Por. S. Dąbrowski: *Literatura i literackość. Zagadnienia, spory, wnioski*. Kraków 1977, s. 9.

różnopoziomowych znaczeń. JT najpierw oświadcza, że dokonał argumentatywnego podziału na dziennikarskość i czasopiśmienniczość, a następnie oświadcza, że będzie się dopiero zastanawiał nad różnicą między nimi (56); czym więc było dokonanie podziału, skoro nie było dokonaniem odróżnienia, i czemu służyły argumenty, jeśli nie wskazaniu różnicy motywującej podział? Wreszcie: wbrew następującej zaraz potem deklaracji, nie sprzyja JT precyzji terminologicznej, kiedy dopuszcza używanie terminu „publicystyka” zarówno na określenie wszelkich gatunków prasowych, jak też na określenie gatunków przeciwstawnych „informacyjnym” (46—47). Już z uwag tego jednego akapitu widać dostatecznie, jak bardzo rozchwiana jest praktyka terminologiczna, kryteriologiczna i klasyfikacyjna w krytykowanej książce. Wejdzmy zatem w szczegóły.

Sądzę, że prasowość (jako rodzaj) nie daje się — w ramach jej rozumienia przez JT — dzielić poprawnie na publicystykę i informację, bo podział taki jest tu uzależniony zarówno od rozumienia informacji, jak od rozumienia publicystyczności (52). Jeśliby przez publicystykę rozumieć wypowiedź na aktualne, ważne społecznie tematy, to przecież trzeba uznać, że także niektóre publikacje książkowe (tj. powstałe pierwotnie już jako książkowe) także są publicystyką. Natomiast to, co zawiera „prasa”, nie wszystko jest publicystyką, skoro w prasie jest (czy: bywa) także: wiersz, opowiadanie, komiks, rebus, różne „rady praktyczne” itp. A zatem nie tylko, że nie wszystko to ma charakter publicystyczny, ale nawet nie wszystko ma charakter dziennikarski („żurnalistyczny”). Trzeba więc uzupełnić przymiotnikami oba terminy (publicystyka książkowa czy prasowa, informacja książkowa czy prasowa<sup>3</sup>), a przy tym — jednak — respektować jako kryterium „fakt posługiwania się przez prasę daną formą piśmienniczą” (52). JT w zasadzie nie odrzuca kryterium mówiącego, że gatunek używany przez prasę to gatunek prasowy, ale nazywa je kryterium „czysto mechanicznym”, acz przyznaje mu wszelkie pozory (!) prawidłowości (52). JT przyznaje, że zespolił to kryterium z kryterium „intuicyjnej oczywistości” (55), jednak sposób, w jaki określił owo „manipulowanie intuicyjną oczywistością” (52), świadczy, że samo wyrażenie nie jest trafne, skoro przy tym „manipulowaniu” bierze się pod uwagę (rozpatruje? bada?) walory funkcjonalne (niechby i ogólne!), a to wykracza już poza prostą reakcję intuicyjną (uchwycenie funkcji wymaga ustalenia związków między zjawiskami, ich obserwacji i interpretacji, a zatem metodyczności i dyskursywności).

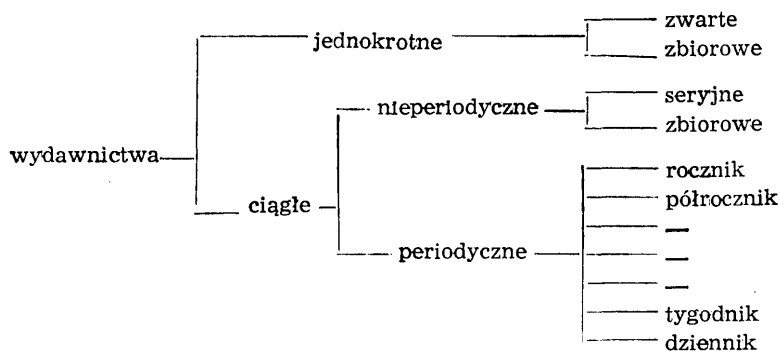
<sup>3</sup> JT nie od razu odróżnia terminologicznie tę „informację”, o której mówił w związku z „komunikatem” (43—44) i która jest jakby informacją *an sich*, od tej, o której mówi w związku z gatunkami prasowymi (46), a którą właśnie należy nazwać terminem złożonym „informacja prasowa”.

W charakterystykach gatunków warto respektować „szeroką świadomość genologiczną” (termin Stefanii Skwarczyńskiej), ale ona nie może dyktować ujęć porządkujących (logicznych, teoretycznych, systematycznych), a z kolei w ujęciach porządkujących dobrze jest, gdy systematyka pozostaje w zgodzie i z logiką, i z teorią. Dlatego, nie ulegając ani „świadomości potocznej”, ani ujęciom JT, powiem, że nie jest nielogiczne spojrzenie na dziennik jako na najczęstsze czasopismo regularne, i uznanie określeń „czasopismo”, „wydawnictwo periodyczne”, „periodyk” za określenia wymienne (por. 54), tj. za tożsame znaczeniowo, gdyż tylko w ten sposób zachowujemy logikę podziału i jedność kryterium, które (samo!) skłaniałoby też do uwzględniania w systematyce półrocznika i rocznika. Dziennik (wbrew JT) różni się nie od czasopisma (bo nim jest), lecz od tygodnika, dwutygodnika, miesięcznika, dwumiesięcznika, kwartalnika. A warto też uwzględnić, że niektóre czasopisma w swej nazwie indywidualnej (a nie gatunkowej) mają z przyczyn historycznych słowo „dziennik”, chociaż nie są dziennikami (np. „Dziennik Ustaw”), oraz: że dziennika nie można utożsamiać z gazetą, gdyż istnieją gazety, które ukazują się wprawdzie regularnie, ale rzadziej niż 6—7 razy w tygodniu (np. 2—3 razy na tydzień w określone dni tygodnia) i że niektóre czasopisma mają w nazwie słowo „gazeta”, nie będąc dziennikami (53).

Formą prasową zacierającą granicę między dziennikiem a tygodnikiem jest stosowana przez dzienniki praktyka wyodrębniania jednego numeru w tygodniu — albo tematycznie (np. w gdańskim „Głosie Wybrzeża” gromadzenie materiałów na temat kultury w numerach czwartkowych), albo gatunkowo (zamieszczanie materiałów literackich w numerach sobotnio-niedzielnym). Niekiedy przyjmuje to wyodrębniającą się formę wkładki, dodatku, opatrywanego nawet własnym tytułem (np. dawne „Rejsy” w „Dzienniku Bałtyckim”). Z takiego dodatku do „Dziennika Krakowskiego” narodziło się „Życie Literackie”.

Sztuczne wzniesienie bariery jakościowej między dziennikiem a czasopismem (swoistą publikacją zbiorową; 62) zmusza JT do sztucznego sposobu opisu. Zamiast powiedzieć, że pewne gatunki są ogólnoczasopiśmiennicze (ja twierdzę, że wszystkie; nawet nota informacyjna, która gatunkowo pozostaje taka sama w dzienniku i w roczniku, w tym ostatnim dotycząc tylko spraw o mniejszym tempie dezaktualizacji), JT musi mówić o obustronnym ruchu adaptacyjnym. By tę sztuczność formalną tłumaczenia unaocznic, dam przykład mniej abstrakcyjny, ale zbudowany według tego samego schematu: jest to tak, jakby — zamiast „te same owce pasą się raz na wschodnim, a raz na zachodnim stoku wzgórza” — powiedzieć, że owce mają szczególną zdolność adaptacyjną, pozwalającą im paść się raz na wschodnim, a raz na zachodnim stoku. Doprawdy, scholastyczna *vis adaptativa*.

Jak dodatki tygodniowe dzienników są pograniczem między dziennikiem a tygodnikiem, tak wydawnictwa ciągle nieperiodyczne są pograniczem między wydawnictwami ciągłymi a jednorazowymi, zwłaszcza jeśli się uwzględni, że wydawnictwa zbiorowe bywają i wydawnictwami jednorazowymi, i kontynuandami, oraz że każda z pozycji wydawnictwa seryjnego, wzięta z osobna, ma wszystkie cechy druku zwartego (jednorazowość, jednoautorskość). JT próbuje skrzyżować dwa kryteria: periodyczność — nieperiodyczność, ciągłość — zwartość, ale te kryteria nie są logicznie rozłączne (periodyczność jest formą, i to właśnie dość rygorystyczną ciągłości, a wydawnictwa zwarte są oczywiście nieperiodyczne) i dlatego w otrzymanym podziale (53—54) na *A* i *B* są zbędne powtórzenia: w grupie *A* roczniki i półroczniki są wyłączone z periodyków, a w grupie *B* są do nich zaliczane; w grupie *A* gazeta jest przeciwstawiona czasopismu, a w grupie *B* uznana za czasopismo (bo tak rozumiem zwrot wskazujący, że ono obejmuje „obie kategorie”). By te niekonsekwencje ominąć, trzeba wydawnictwa podzielić na: jednorazowe i ciągle; ciągle — na periodyczne i nieperiodyczne; periodyczne (czasopisma) — według rytmu ukazywania się: od dziennika do rocznika; nieperiodyczne — na seryjne i zbiorowe; wreszcie same seryjne — na zwarte i zbiorowe.



Oczywiście, ten porządek wprowadza się za cenę odstąpienia od... tradycyjnego nieporządku, w którym ciągłość nieperiodyczna raz nosi nazwę kontynuandum (w grupie *A*), a raz wydawnictwa zbiorowego (w grupie *B*). Skoro JT w określeniu prasy uwzględni „sens intencjonalny”, to nie powinien z niej wykluczać półroczników i roczników, gdyż je także cechuje periodyczność. Nieregularność, z jaką się często ukazują, z reguły nie wynika z „intencji” redakcji, lecz np. z pozaredakcyjnych w swej genezie trudności technicznych, organizacyjnych, finansowych i innych, które także zakłócają periodyczność ukazywania się kwartalników czy miesięczników. Nie ma żadnych powodów na to, by „Rocznika Gdańskiego”, „Roczników Humanistycznych”, „Roczników Filozoficznych”

nie nazywać periodykiem. I dorzucmy w sprawie kontynuandów: 1) mając numerację ciągłą, stanowią one dla JT „mieszane” po granicze periodyczności i jednokrotności; 2) JT mówi, że w kontynuandach chodzi m. in. o zachowanie jednolitości językowej bez naruszenia indywidualności językowej autorów (*jak to zrobić?*); 3) nie sprzyja jasności komentarza nazywanie kontynuandum raz rodzajem (typem) wydawnictwa, a więc jednym z wydawnictw, a raz ciągiem wydawnictw (książkowych), a więc wielością wydawnictw (60, 77).

Dopiero po dokonaniu podziału form prasowych ze względu na ich rytm czasowy można na jego wyniki nałożyć inne kryteria różnicujące, które zresztą też nie działają tak prosto, jakby to wynikało z uwag JT. Nieprawda, że dziennik „zasadniczo nie określa odbiorcy”. Istnieją dzienniki partii politycznych, mniejszości narodowych, grup wyznaniowych itp. I ta okoliczność rzutuje zarówno na dobór i ukształtowanie serwisu informacyjnego (a więc pojawia się problem „tematu [przedmiotu]”), jak też na „intencjonalny” zasięg pisma, które przecież wtedy jest przeznaczone dla adherentów i sympatyków, a nie dla ideowych przeciwników. Nawet prasa stołeczna nie zawsze, a przynajmniej nie w całości, bywa prasą ogólnokrajową. Wydaje się, że bezwzględna powszechność adresu dziennika oznaczałaby bezwzględną monopolizację prasy przez jedną siłę społeczną (w Polsce właśnie redagowany przez grupę katolików dziennik „Słowo Powszechne” jest przykładem niepowszechności zasięgu odbiorczego).

O stosunku ilościowym gatunków dziennikarskich i czasopiśmienniczych (skądinąd odróżnienie to, jako opozycję, odrzucam) JT także mówi w sposób nielogiczny. Mówi, że większość ich występuje w dzienniku, a w czasopiśmie mniejszość. Logika i wzgląd praktyczny nakazują terminów „większość” i „mniejszość” używać jako rozłącznych zakresowo, np. kiedy mówimy o większości i mniejszości parlamentarnej, to zakładamy, że żaden deputowany, należący do większości, nie należy zarazem do mniejszości. Tymczasem JT stwierdza, że wiele z gatunków, występujących w „czasopiśmie”, występuje także w dzienniku. Należało więc bodaj powiedzieć, że większość gatunków prasowych występuje głównie w dzienniku, a mało jest takich, które występują głównie w rzadziej ukazujących się czasopismach. Tak właśnie mówi JT tam, gdzie odróżnia gatunki dziennikarskie i czasopiśmiennicze. Odróżnienie to bym zachował, ale inaczej bym scharakteryzował stosunek wzajemny odróżnionych członów. Stosunek ten dla JT jest rozłączny, a dla mnie byłby stosunkiem zawierania: w obrębie gatunków prasowych gatunki dziennikarskie stanowiłyby wewnętrzną, liczną i ośrodkową podgrupę.

### 3. Prasa — literatura. Autochtonia i ksenochtonia gatunków prasowych

Z góry twierdząc, że równie niefortunny użytek zrobił JT z opozycji „prasa — literatura” i z opozycji „autochtonia — ksenochtonia”. Druga z nich (już wewnątrzprasowa) jest pochodna względem pierwszej, ale jest — z winy wadliwego komentarza — niejasna. Czytamy, że gatunki autochtoniczne dzielą się na dziennikarskie i czasopiśmiennicze (56), ale pamiętamy, że podział ten wcześniej przecinał *wszelkie* gatunki prasowe, a nie tylko te, które „zrodziła” prasa (55), i z tym można się było zgodzić łatwiej (nawet nie godząc się z charakterystyką stosunku między dziennikiem a czasopiśmiennikiem). Nielogiczne jest stwierdzenie, że „gatunki ksenochtoniczne (...) stają się (?) (...) gatunkami czasopiśmienniczymi” (56), gdyż ta kategoria ustalona została już w obrębie „prasowości” („czasopiśmienniczości”), czyli dotyczy pewnego stanu osiągniętego, a nie osiągnięcia stanu. Zresztą jest niejaka sprzeczność między położeniem akcentu na formowanie się gatunków prasowych „ksenochtonicznych” według dyrektyw gatunków pozaprasowych a położeniem akcentu na momencie prasowego przystosowania tych gatunków (56 pkt 3 i 6).

Stosując wyrazistą dychotomię, JT zamazuje ją komentarzem. Powinien był utrzymywać, że gatunki autochtoniczne to gatunki powstałe na gruncie prasy, a ksenochtoniczne — powstałe poza prasą i przez nią adaptacyjnie zrefunkcjonalizowane. Ta dychotomia dotyczy tylko genezy. Ale JT używa niewłaściwego dla tej opozycji języka i gatunki autochtoniczne określa jako „właściwe wyłącznie lub przede wszystkim dla prasy” (56). Jest to jednak już zupełnie inna sprawa, z poprzednią się krzyżująca, ale nie pokrywająca. Gatunek zrodzony na gruncie prasy wcale nie musi prosperować wyłącznie w prasie (może podlegać pozaprasowym użytkom i re-funkcjonalizacjom). Niejasne określenie „właściwe dla prasy” próbuję zastąpić określeniem „stosowane w prasie” (bo o to zapewne szło) i teraz powtórzę: należy odróżniać pochodzenia gatunku od stosowania gatunku. Za nietrafną (zamajającą) należy też uznać pojednawczą formułę „wyłącznie lub przede wszystkim”, nie dającą się pogodzić z ostrością dychotomii.

Fortunniesze jest chyba powiedzenie, że „literatura” może spełniać funkcje publicystyczne niż „że spełnia funkcje prasy” (50). Są w użyciu terminy „publiczność czytająca”, „publiczność literacka”, świadczące — wraz z terminem „publikacja” (=druk) — o tym, że odnośność i zwrot literatury do publiczności, jej *przeznaczenie* dla publiczności (*publicatio*), czyli funkcja „publicystyczna” (właściwie funkcja szerokiej kontaktywności), jest dla literatury zwykła i wcześniejsza niż pojawienie się nowoczesnej prasy. Inna sprawa, że termin prasoznawczy „funkcja publicystyczna” ma sens bardziej



wyspecjalizowany (ale z tamtym sprzeczny). Z tego, że „żurnalistyka” zaanektowała gatunki „rdzennie” literackie (52), nie wynika jeszcze prawomocność opinii, że „prekursorem czasopiśmiennictwa(...) była literatura” (50). Opinia ta jest podobnie sformułowana jak opinia, że prekursorem teatru była literatura, i jest w podobny sposób niesłuszna. Gatunkowość należy rozpatrywać przez pryzmat funkcji danej struktury, ale wtedy refunkcjonalizacja stanie się zmianą gatunkowości (a typ publikacji wpływa na rodzaj pełnionej funkcji). W dodatku termin „literatura” jest w tej opinii rozumiany ahistorycznie.

JT uznaje za niewystarczające wyznaczniki prasowości gatunku zarówno posłużenie się danym gatunkiem przez prasę, jak też funkcję danego gatunku (52), ale to, co sam proponuje, jest po prostu potraktowaniem łącznym i jednoczesnym obu tych kryteriów: publikacja w prasie przesądza o funkcji utworu, a funkcja utworu o jego gatunkowym zaszeregowaniu (i okazuje się, że mamy właściwie do czynienia z jednym kryterium). Inaczej mówiąc, rodzaj sposobu upowszechnienia (udostępnienia) utworu wpływa istotnie na sposób odbioru utworu (perspektywa odbiorcy) czy też na sposób oddziaływania utworu (perspektywa utworu), a ów sposób odbioru (i oddziaływania) wpływa na gatunkowość utworu. Utwór jest gatunkowo taki, jak jest odbierany; jest taki, jak działa. Funkcja wyznacza gatunek. Przedruk książkowy utworów prasowych pozbawia je ich „prasowości”. Opowiadając się za genologią funkcjonalistyczną (a nie ontologizującą), utrzymujemy, że JT niesłusznie sądzi, iż (w przedstawiony przeze mnie sposób) wskazał na „pewną zasadniczą różnicę między *ontologią* literatury a *ontologią* prasy” (53). Zresztą dla mnie rozważania nad genologią prasy to także dział rozważań teoretyka *literatury*<sup>4</sup>.

JT nie docenia radykalności swego pomysłu interpretowania prasowości w trybie „dedukcyjnym” i funkcjonalistycznym, skoro nadal twierdzi, że wprawdzie gatunki literackie tworzą literaturę, lecz gatunki prasowe nie tworzą prasy (skoro ich przedruk książkowy odbiera im cechę czasopiśmienniczości). Właśnie w tym miejscu (53) JT po części nie ma słuszności, a po części nie dostrzega zasięgu własnej słuszności, gdyż gatunki prasowe, póki są prasowe, tworzą prasę (z logiką walczyć nie należy), natomiast w przedruku dlatego nie tworzą prasy, że w nim nie są już prasowe, tracą możliwość pełnienia funkcji właściwych prasie (tj. nie są już prasą w sensie funkcjonalnym). Można, a nawet trzeba pamiętać o ich pochodzeniu prasowym, a zarazem o ich refunkcjonalizacji; właśnie na tym polegał błąd pozytywizmu w badaniach literackich, iż „naturę” zjawiska utożsamiał z jego genezą. Funkcja nie jest sztywno uzależniona od genezy ani od struktury (sam JT stał przecież

<sup>4</sup> Por. Dąbrowski: *op. cit.*, część I (rozdz. I—IV).

na tym stanowisku, polemizując z interpretacją powieściowych form podawczych; 50). Nie ma takiego rodzaju wypowiedzi językowej, który by przy określonym zapotrzebowaniu społecznym nie mógł stać się przedmiotem przedruku, a nawet wydania krytycznego. Więc wspomnienie o tej możliwości właśnie w odniesieniu do publicystyki (47) nie było szczególnie niezbędne.

Jeśli pamiętać, że rozważania o gatunkach prasowych osnute są na opozycji „prasa — literatura”, to widzimy, jak biorą odwet pewne zbyt wąskie kategorie. Usunięcie prasy z literatury wspierane jest argumentami, które kategorię literatury *rozszerzają* daleko poza „literaturę piękną”. Prasie przeciwstawiono (a więc zaliczono do literatury!): rozprawę naukową i „artykuł fachowy” — obok wiersza (55). Ale wtedy natychmiast rodzi się sprzeciw (oczywiście teoretycznoliteracki, a nie prasoznawczy): skoro nawet te gatunki zaliczono do literatury, to niby czemu do niej nie zaliczyć felietonu, recenzji, eseju, reportażu, przy których nawet „szeroka świadomość genologiczna” miałaby mniejsze opory niż przy zaliczaniu „artykułu fachowego” (?) do literatury. Pytanie o literackość gatunków prasowych nie da się obejść, a odpowiedź negatywna więcej tu utrudnia niż wyjaśnia.

Na przykładzie sposobu, w jaki JT omawia gatunki prasowe, widać wyraźnie niebezpieczeństwa stosowania jednej perspektywy. W rozdziale o „Przekazach prasowych” patrzy JT oczyma prasoznawcy i twierdzi, że gatunek prasowy przeciwstawia się literackiemu oraz że „recenzja *literacka*” jest gatunkiem prasowym (54—55), a nie literackim. Ten zaś, kto by na recenzję literacką spojrzął z perspektywy badacza ruchu literackiego (życia literackiego), ten oczywiście traktowałby ją jako ważny (albo nieważny) w danym momencie czasowym gatunek literacki; i na tyle, na ile on ma słuszość, nie może jej mieć JT (i odwrotnie). Uwagę tą chcę wskazać na potrzebę większego uwielostronnienia i relatywizowania stanowiska (zwłaszcza literaturoznawczego, bo polemizuję z literaturoznawcą); na to, że nie można mówić o prasie (czy literaturze) „samej w sobie”. Zaś JT ciągle pyta o „istotę” gatunku prasowego (54), prasy (53), listu (44) itp., a więc pyta o moment niezrelatywizowany, rozumiany w duchu starej metafizyki arystotelesowskiej, i popada w sprzeczności, kiedy np. „istotę” prasy tłumaczy funkcjonalistycznie. *Gdyby* się zgodzić, że z funkcji zjawiska wynika jego istota, to o zjawisku zrefunkcjonalizowanym wolno byłoby powiedzieć, że uzyskało nową istotę. Gdyby przyjąć, że kategoria funkcji uniepotrzebna kategorię istoty, że w funkcjach zjawisk aktywizują się strukturalne właściwości zjawisk, to o zjawisku zrefunkcjonalizowanym trzeba by powiedzieć, że zaktywizowane w nim zostały inne jego właściwości. Ujęcie takie zachowywałoby równowagę między skrajnym funkcjonalizmem (unieważniającym problemy struktury przedmiotu) a skrajnym substan-

cializmem (który grozi niewysublimowanym, rzeczowym, a przy tym statycznym, rozumieniem struktury). Kontrastowanie przez JT prasy i literatury sięga dość daleko. Czytamy, że utwór prasowy nie istnieje poza swą funkcją społeczną, a utwór literacki istnieje (!) poza nią i bez niej, gdyż „nawet znany tylko autorowi, nie przestaje być sobą i nie traci sensu” (54). U podłoża tej przesady w kontrastowaniu leżą dwa błędy: semantyczny (nieodróżnianie funkcji od sensu) i metodologiczny (operowanie funkcjonalistyczną teorią prasy i afunkcjonalistyczną, czysto „ontologiczną” teorią literatury). JT nie zauważa, iż z tego, co utrzymuje, wynikałoby, że utwór literacki nie musi spełniać funkcji komunikatu (tj. zostać zakomunikowany), ani nawet funkcji przekazu, a to przecież pozostaje w sprzeczności z faktem, że JT zagadnieniom przekazu i komunikatu poświęcił sporo miejsca we wcześniejszych partiach książki, oraz z tym, co mówił np. o re-funkcjonalizacji form podawczych powieści (50). Ujęcie takie uniepotrzebniałoby całą problematykę „stylów odbioru”<sup>5</sup>. Zaryzykowałbym opinię, że JT sam w rzeczywistości nie podziela własnej opinii, iż prasa jest związana z czasem i miejscem, literatura zaś jest „niezależna od czasu i miejsca powstania” (53). Wprawdzie ten określnik ulega zawężeniu kontekstowemu przez wzmiankę o „cyklu” utworów, ale wzięty z osobna kłóciłby się z postulatem uwzględniania czasowo-przestrzennych uwarunkowań literatury. Z tych powodów twierdzę, że Autorską definicję gatunku prasowego dyskwalifikuje okoliczność sformułowania jej w ramach opozycji do afunkcjonalistycznie pojmowanej genologii literackiej (zaznaczę przy tym, że funkcjonalizmu literatury nie utożsamiam ani z utylitaryzmem, ani z pragmatyzmem literackim). Pojmowanie to ujawnia się np. w zaleceniu, by gatunki nieprasowe, występujące w prasie, „pod względem *gatunkowym* badać w obrębie właściwych dla nich typów piśmienniczych, pod względem zaś *funkcjonalnym* interpretować z uwagi na ich możliwości adaptacyjne” (55). Zalecenie to wymaga paru zastrzeżeń: 1) względ funkcjonalny występuje także „w obrębie właściwych typów piśmienniczych” (zresztą chodzić tu może dzisiaj już tylko o *książkę*); 2) moment funkcji powinien być traktowany jako współczynnik genologiczny; 3) funkcja prasowa nie da się utożsamiać z zabiegiem strukturalnego przystosowania gatunku: wiersz Przybosa w „Życiu Warszawy” nie podlega (jako tekst) żadnym wewnętrznym zabiegom adaptacyjnym, a przecież narzucona mu jest funkcja elementu prasowego (przez konteksty i przez rodzaj „przekaźnika”—„publikatora”), a więc i (wymagająca osobnej charakterystyki) gatunkowość elementu prasowego.

---

<sup>5</sup> M. Głowiński: *Style odbioru. Szkice o komunikacji literackiej*. Kraków 1977.

O wierszu powiedział JT, że ma żyć „własnym życiem bez prasy, choć prasa ułatwia mu społeczne krążenie i oddziaływanie” (55) i tkwią tu dwa nieporozumienia: 1) założenie, że wiersz w prasie nie żyje w żadnej mierze „życiem prasy”; 2) utopijne założenie, że istnieje jakieś „własne” życie wiersza. Wiersz jednak zawsze żyje życiem czyimś: prasowym, książkowym, rękopisowym, recytacyjnym (przykład wiersza pełni tu rolę synekdochy!), i to w każdym z tych wariantów „życiowych” — inaczej. Nasza kultura nie jest kulturą rękopisu, ale też nie jest kulturą obchodzącą się bez rękopisu, dlatego ten „kwadrat” możliwości publikacyjnych (prasa, książka, rękopis, radio) jest kulturowo wypełniony w całości. Jest to zarazem „kwadrat” funkcjonalnych modyfikacji genologicznych (bez zdziwienia przyjąłbym uwagę, że „kwadrat” już nie wystarcza jako „wielobok” egzemplifikacyjny). Refleksja JT porusza się tylko jakby wzdłuż jednego „boku” tego „kwadratu”, między dwoma „wierzchołkami” (jeden z nich w dodatku mylnie określając): prasa — literatura (55), zamiast: prasa — książka. Bo to książka jest techniczną alternatywą publikacyjną wobec prasy, wbrew zdaniu JT, że „czasopismo też jest *sui generis* «książką»” (20)<sup>6</sup>; a „ogniskową” prasy jest dziennik. Inaczej mówiąc: prasowość kulminuje w dzienniku. Znaczy to właściwie, że prasowość to częstotliwość. Stopień prasowości maleje wraz ze spadkiem częstotliwości wydawniczej, maleje tym samym wydolność aktualizacyjna.

JT i ja nie mówimy tego samego. On (53—55) buduje opozycję (dziennik — czasopismo), a *zarazem* układa skalę ciągłą; samą opozycję ustalił bynajmniej nie pomiędzy biegunami skali. Twierdząc, że „rocznik i półrocznik w ogóle nie wymagają gatunku specyficznego własnego” (55), dowodzi, że nie docenia jednorodności skali częstotliwości, skali różnicowanej tylko przez moment ilościowy (stopień częstotliwości). Skala ta obejmuje równoprawnie wszystkie wydawnictwa o *stałym* rytmie publikacyjnym (i dziennik, i...dwurocznik), a więc całe czasopiśmiennictwo.

Nazwę gatunek literacki zdarzeniem diachronicznym dokonującym się „poprzez” fakty utworów literackich. Przypomnę określenie JT: gatunek jest „konstrukcją o czasowym działaniu” (53). Ale używszy do określenia gatunku *literackiego* — Autorskiego określenia *prasy*, zmierzam do wskazania analogii między gatunkiem literackim a „gatunkiem” prasy. Dla mnie jako dla badacza literatury jest tak, jakby trzeba było prasę uznać za wyznaczany przez odrębność funkcji osobny gatunek (rodzaj?) literacki, a to, co zwieemy gatunkami prasowymi, uznać za odmiany gatunkowe prasy. Wtedy stałoby się oczywiste, że przedruki książkowe utworów pra-

<sup>6</sup> Na s. 60 czytamy przecież, że książka w sensie bibliograficznym przeciwstawia się czasopismu, a w sensie wydawniczym — broszurze.

sowych, refunkcjonalizując te utwory, odbierają im gatunkowość prasową. Gatunek wyznacza nie sama struktura formalna („formalia” — jak powie JT), lecz struktura odniesiona do swej aktualnej funkcji. Przy takim założeniu trzeba by trochę inaczej spojrzeć na wspomniane przez JT zjawisko historycznoliterackie, polegające na określaniu różnych struktur gatunkowych tą samą nazwą gatunkową albo na określaniu tej samej struktury gatunkowej różnymi nazwami (52). Pozór anomalii tego zjawiska znikłby po odniesieniu *nazwy do struktury pełniącej funkcję*. Opisane przesunięcie byłoby sygnałem, że w pierwszym z przykładów zaczął może przeważać moment wskazywania na tożsamość funkcji, w drugim — na rozbieżność funkcji; przy czym oba przykłady dowodziłyby, że nazwa gatunkowa jest silniej związana z funkcją gatunkową niż ze strukturą gatunkową. Byłoby też oczywiste, że studium minionej funkcji *Ptaków* Arystofanesa to (także) studium genologiczne, choć dające komentarz genologiczny ukształtowany przez dzisiejszą świadomość teoretycznoliteracką, a więc różny od tego, jaki by wynikał ze „sformułowanych” poetyk i doktryn literackich przeszłości. Interpretację zawartą w takim komentarzu trzeba by więc nazwać nie tyle „dość swobodną” (50), ile właśnie zdyscyplinowaną; przy czym ani nie zastępującą rekonstruktywnych studiów nad poetykami historycznymi, ani ich nie wypaczającą.

Wydaje mi się, że stanowisko moje można by uznać za skrajną konsekwencję tezy JT, że „badanie gatunków prasowych musi przebiegać w ścisłej korelacji z genologią wielu innych współczesnych typów piśmienniczych” (56).

#### 4. Wyznaczniki publicystyczności i prasowości

Zacznijmy od paru luźnych zastrzeżeń. Do wypowiedzi „zsyntetyzowanej” (47) mógł JT zaliczyć publicystykę tylko dlatego, że definicja owej wypowiedzi (41) umożliwia zaliczenie do niej *każdego* „przekazu tekstowego”. JT nie odróżnia przedmiotu wystąpienia publicystycznego od genezy tego wystąpienia (46), jest to właściwie zastępowanie (kolejno) przyległości podobieństwem, a podobieństwa tożsamością. Niekiedy przykłady na ten sam rodzaj zjawiska zostają opatrzone różnorodnymi komentarzami, np. w sprawie czasopiśmienniczego przystosowania gatunków piśmiennictwa mówi się przy utworach poetyckich o tym, *co jest* ich aktualnością, a przy utworach naukowych o tym, *jakie są następstwa* ich aktualności; jest nawet gorzej: *bo obok utworów* poetyckich umieszczono w rzeczywistości nie *utwory* naukowe, ale — „dziedziny wiedzy” (56). Przy obszernym traktowaniu przez JT zagadnień czasopiśmienniczych dziwi *zupełne* pominięcie ich w bibliografii umieszczonej na końcu książki, zwłaszcza że czy-

tamy: „Systematyka i teoria publicystyki są od dłuższego czasu przedmiotem badawczej obserwacji na terenie polskiego piśmiennictwa fachowego” (46).

Ze względu na podane przez JT przykłady publicystyki (46) wypada zastrzec, że być nią nie musi ani esej, ani polemika, i to ani w aspekcie stylistycznym, ani w aspekcie przedmiotowym, acz trzeba przyznać, że niektóre gatunki wypowiedzi dość łatwo „stają się” publicystyczne (w rozumieniu i odczuciu ogólnoodbiórczym) już przez samo miejsce druku (dziennik), albo przez moment czasowy druku. Kiedy o tzw. ambitnej publicystyce mówimy, iż nie traci wartości (nie dezaktualizuje się) mimo upływu czasu, to z reguły chodzi nam o publicystykę eseizującą. To w niej, po przedawnieniu się tego, co publicystyczne, wydobywa się na pierwszy plan odbioru walor eseistyczny. Jednak oprócz aktualności zamierzonej przez autora istnieje często aktualność narzucona (albo przywrócona) przez warunki zewnętrzne, przez „życie”. I wtedy publicystyczną proklamacją staje się przedruk kazania Skargi „o prawach niesprawiedliwych”, czy nawet przedruk *Ody do młodości*.

Jak strukturę gatunkową traktował JT w oderwaniu od funkcji, tak aktualność chronologiczną rozpatruje w oderwaniu od aktualności tematycznej. Widzi tylko możliwość zastąpienia jednej przez drugą (56). Nie widzi ich związku — i to jednokierunkowego: pierwsza zależy od drugiej. Notowania giełdowe musi podać dziennik, czasem jego wieczorne wydanie, bez czekania do jutra. Fachowe informacje o odkryciach naukowych albo o życiu naukowym może podać i miesięcznik, i rocznik (takim informacjom poświęcony jest wyjątkowo np. „Ruch Filozoficzny”). Tempo dezaktualizacji zależy w znacznej mierze od charakteru, treści i sposobu opracowania informacji, ale zależności te nie są niezmiennie (np. zdarzają się nagłe dezaktualizacje informacji uchodzących za względnie trwałe). JT wiąże prawdziwość z aktualnością i mówi (wadliwie) o prawdziwości i aktualności samych „form prasowych” (55), tymczasem cechy takie mogą przysługiwać tylko samym informacjom (prymarnie) i zawierającym je wypowiedziom prasowym (pochodnie), ale nie „formom” (gatunkowym!). Można co najwyżej powiedzieć, że do „form” tych zachowują odnośność *kategorie* prawdziwości — fałszywości i aktualności — nieaktualności, podobnie jak do niektórych form literackich zachowuje odnośność *kategoria* fikcjonalności (a do innych *kategoria* autoteliczności). To pozwoli mówić o fałszywych i zdeaktualizowanych wiadomościach *prasowych*, podobnie jak mówimy o heterotelicznych i niefikcjonalnych utworach *literackich*. W tym miejscu daje się chyba wyjaśnić, *dłaczego* JT — prasę wiążąc z kategorią funkcji — wyraźnie dysfunkcjonalizuje literaturę (przeakcentowując w niej element ontologiczny). Powód ten upatruję w takim sposobie rozumienia autoteliczności i fikcjonalności, że skłania on do uchylania problema-

tyki funkcji. Tymczasem nie tylko nie jest to niezbędne, lecz przeciwnie: samą autoteliczność i fikcjonalność rozpatrywać trzeba w perspektywie ich szczególnych funkcji.

Między tezą głoszącą, że gatunek literacki może się stać gatunkiem dziennikarskim „w następstwie odpowiednich operacji funkcjonalnych, dotyczących aktualności i prawdziwości”, a ilustracją tej tezy, tj. stwierdzeniem, że aktualnością wierszy drukowanych w dzienniku może być sama ich nowość, tzn. to, że napisano je niedawno (56), nie ma wystarczającej zgodności. Stąd — pytania: 1) na czym właściwie polega taka „operacja funkcjonalna” akurat w odniesieniu do wiersza, jeśli (a tak trzeba przypuszczać) nie sprowadza się do wydrukowania, lecz poprzedza druk?; 2) skoro JT uczynił z „aktualności i prawdziwości” (55) istną parę bliźniaczą, to czemu przy wierszu przemilcza (przyznając, że niewygodną) „prawdziwość”?; 3) czy nie należało raczej wspomnieć o innych rodzajach aktualności, stwarzających rzeczywiście pewne możliwości dla dziennikarskich manipulacji adaptacyjnych (liryk pejzażowy w numerze poświęconym problematyce wiejskiej, liryk elegijny w Dzień Zaduszny)?

Prasę konstytuują łącznie: aktualność, okresowość (jako rodzaj czasowości), zbiorczość publikacyjna i druk (jako technika publikacji). Wbrew JT, nie sądzę, by właśnie aktualność „zakreślona przez chronologię” trzeba było zwać aktualnością prasową w sensie ścisłym (56), gdyż moment ten komplikują znacznie czynniki merytoryczne. Książka bywa aktualna, ale nie okresowa. Stała w swej rytmiczności czasowej wypowiedź publiczna, jaką jest niedzielne kazanie, nawet gdyby zawierała treści „publicystyczne” jest jednak wypowiedzią ustną (natomiast np. przedrukowana w zbiorze kazań traci swą okresowość, zmienia adresata i funkcję — trochę podobnie jak przedrukowany zbiór felietonów). Ale bezpośrednio włączanie prawdziwości (obok aktualności) do cech konstytutywnych prasy ma charakter raczej dydaktyzująco-moralistyczny niż opisowo-konstatacyjny, jest rodzajem *pium desiderium* bronionym przy pomocy paradoksu (55). Sądzę, że należy tu spożytkować pośredniczącą kategorię informacyjności: od prasy wymagamy informacji, od informacji wymagamy prawdziwości (czy rzetelności). Paradoksu (wbrew JT) nie ma, gdyż żaden kłamca nie zaczyna od ostrzeżenia, że oto będzie kłamał, lecz kłamie bez ostrzeżenia, jako że bez tego nie byłoby kłamstwa, czyli przewrotnego „zaanektowania cech pozytywnych w sposób czysto formalny” (55). Ze wspomnianą „rozpoznawalnością” też bywa różnie, w zależności od rozpoznawczych kompetencji i uwrażliwień moralnych odbiorcy (wachlarz postaw: od ślepej wiary w „słowo drukowane” po aprioryczną nieufność). Oczywiście sprzeczność jest między opinią: „bez aktualności i prawdziwości nie można sobie wyobrazić prasy” (56) a opinią: „okreś-

lona forma prasowa jest gatunkiem prasowym i wówczas, gdy jest nieaktualna i fałszywa” (55). Wprowadzona analogia z „bezwartościowym utworem literackim” jest nie do utrzymania, skoro się literackość definiuje w trybie pozaaksjologicznym (formalnym), a prasowość w trybie aksjologicznym. A zupełnie niezrozumiałe jest jednakże traktowanie kłamstwa prasowego i satyrycznej gry literackiej. Wątpić też można, czy podmiotowość sposobu widzenia jest warunkiem koniecznym publicystyczności (46).

JT nie odróżnia cechy od postulatu, kiedy gatunkom prasowym przypisuje cechę „jednoznaczności” (56), która z jednej strony bywa niełatwa do osiągnięcia w praktyce dziennikarskiej, a z drugiej — czasem nie leży w intencjach dziennikarza i to z bardzo różnych, nieraz wzajem się wykluczających powodów. Nawet z „komunikatywnością” tekstu prasowego nie bywa najlepiej. Natomiast zupełnym nieporozumieniem jest mówienie o „wyrazistości adresu czytelniczego” (56), skoro się za wyróżnik prasowości uznało „zasięg powszechny” (53). Spytajmy też rzeczowo, czy nie ma sporej mistyfikacji w uznawaniu za swoistość funkcjonowania prasy — jej intencji „bezpośredniej, ścisłej łączności” z czytelnikiem (56)? Taka łączność realizuje się w rozmowie (także telefonicznej), w przemówieniu (dobrego mówcy), w liście. Pewna *fikcja* takiej łączności pojawia się w telewizji. Ale w prasie, w gazecie o ćwierćmilionowym czy milionowym nakładzie i o zasięgu ogólnokrajowym (a czasem ogólnoeuropejskim)? Czy niechby i w gazecie lokalnej!? Kontakt gazety z tzw. terenem nie zawsze jest tożsamy z kontaktem z czytelnikami, a nawet będący częstym zjawiskiem nawyk kupowania jakiejś gazety za taki rodzaj kontaktu uznany być nie może (wykluczam tu sprawę „łączności” przez przystępność, bo ją JT nazwał komunikatywnością). Przy sposobności należy zakwestionować utożsamianie czytelnika (odbiorcy) dyskusji prasowej z jej uczestnikiem (59); wprawdzie bierny uczestnik zebrania jest jego uczestnikiem, ale świadka zajścia nie nazywamy uczestnikiem zajścia; otóż dyskusja jest rodzajem „zajścia”, a jej czytelnik — rodzajem świadka. Wbrew JT, autentyczna publicystyka nie jest skierowana na odbiorcę o „pożądanym nastawieniu” (46), lecz przeciwnie; ona usiłuje zdobyć czytelnika, wywołując u niego to nastawienie. Gdyby „kontaktywność” (46) uznać za synonim „funkcji fatycznej”, to trzeba by zastrzec, że występować ona musi w każdej wypowiedzi, że więc nie jest celowe wskazywanie na nią akurat przy publicystyce, zwłaszcza kiedy się nie mówi, na czym polega *szczególna* forma publicystycznej kontaktywności (przez którą — podkreślam — rozumiem sam tylko moment nastawienia na kontakt, a nie już na funkcje tego kontaktu); dodam, że formą taką może być np. *stałość* (czasowa regularność) felietonu prasowego, wyraźnie wzmacniająca kontakt z czytelnikami, ale stałość



ta jest przecież niczym innym jak właściwą wszelkiej prasie okresowością.

Przydałby się też postulat, by oprócz *teorii* publicystyki uprawiać bezwzględnie rzetelne charakterystyki i opisy funkcjonowania publicystyki. I, wbrew pozorom, tę drugą dyscyplinę uprawiać jest (z *wielu* powodów) znacznie trudniej niż pierwszą, podobnie jak trudniej bywa uprawiać rzetelnie interpretującą zjawiska mikro-socjologię niż ogólną teorię rozwoju społeczeństw. Przecież to, że publicystyka jest własnym głosem jednostkowego publicysty, to taka sama *teoria*, jak i to, że informacja prasowa to gatunek „zdecydowanie przedmiotowiony” (46). Sztynne przyjęcie takiej teorii uniemożliwiłoby (wbrew etymologii słowa „teoria”) spojrzenie faktem w oczy. Piszę to w pełnej zgodzie z wywodem JT. Wspomniana formuła pozostałaby „teorią” nawet wtedy, gdyby uległa złagodzeniu i redukcji do tezy, że w publicystyce przeważa moment podmiotowy nad przedmiotowym, a w informacji przedmiotowy nad podmiotowym (bo o takie chyba ujęcie chodzi w polemice JT z tą tezą). Teoria bliżej byłaby faktyczności (są sytuacje, w których wysoka abstrakcyjność jest wysoką zaletą, ale są i takie, w których jest zaletą niską), gdyby odróżniła podmiotowość instytucjonalną od podmiotowości indywidualnej (jak odróżniamy malowanie przy pomocy szablonów od malarstwa artystycznego) i — konsekwentnie — dwa rodzaje publicystyki. Wtedy by się ujawniło, czy i kiedy uprawiana jest ta druga. Oczywiście w konkretnych wypowiedziach publicystycznych i informacyjnych obie te podmiotowości wchodzi w harmonijne lub dysharmonijne sojusze (np. jedna jest maską drugiej lub odwrotnie), a także w podobne sojusze z przedmiotami wypowiedzi. Należałoby wtedy odróżnić publicystykę kryptoinformacyjną (mówiącą np. „między wierszami” czy też mówiącą „przez sposób mówienia”, co wprowadza już problem technik ezopowych) i informację kryptopublicystyczną (quasi-informację). Zresztą podobnie różnicujące się (i splatające!) role może pełnić sama teoria publicystyki, stając się wtedy quasi-teoretyczną kryptopublicystyką (i to wtedy potrzebne jest Husserliańskie z formuły żądanie powrotu ku faktom, ku stanom rzeczy i ku rzeczom samym).

Niepodobna też uprawiać rzetelnego opisu publicystyki bez rozpatrzenia jej stosunku do propagandy, bo wachlarz możliwych odmian tego stosunku jest bardzo szeroki. Trzeba by odróżniać np. intencję publicystyczną od tendencji propagandowej. Opis faktyczności funkcjonowania gatunków prasowych na pewno zaprzeczyłby tezie o „nieuchronnym” występowaniu „kontaktywności” publicystyki i informacji prasowej, jak też tezie głoszącej, że gatunki te zawsze służą wprowadzaniu „określoności”.

Wiem, że wszystko to, co tu czynię (raz jeszcze) postulatem, było już przedmiotem zarówno badań empirycznych, jak też dociekań

teoretycznych, dlatego w ramach mojej polemiki (o której udostępnienie prof. Trzynadłowskiemu sam proszę) postulat ten pełni tylko kontrargumentacyjną rolę kontekstową. Na terenie realizacji tego postulatu spotykają się — prasoznawca, socjolog kultury i socjolog literatury.

Stanisław Dąbrowski

### W odpowiedzi na uwagi Stanisława Dąbrowskiego

Muszę przyznać, że uwagi wstępne do polemiki podjętej przez Stanisława Dąbrowskiego (SD) nie zachęcają bynajmniej do dyskusji. Powodów jest kilka, z których na razie wymienię jeden, wskazanie innych odkładając na koniec mojej wypowiedzi. Już na samym początku, zanim cokolwiek mogło być powiedziane, SD zaznacza, że jego wystąpienie ma być „ostrzegawczym uwidocznieniem (...)” oraz że „wadliwość formuł problemowych (...) uniemożliwia poprawną problematyzację (...)”. Krótko, SD zaprezentował siebie jako tego, który po prostu wie, stąd stać go i na stosowne do tego słownictwo, i na ton mentorski, i na poczucie pewności nawet tam, gdzie pewność jest niezbyt pewna. Mimo to jednak dyskusję trzeba podjąć, przy okazji adresując do SD znane zdanie Woltera: „Usunął błędy poprzedników, by zastąpić je własnymi”.

Tak, rację ma SD twierdząc, że *Edytorstwo* zawiera w sobie „moment (?) praktycznego poradnictwa (ale chyba poradnictwo *ex definitione* jest praktyczne — *J.T.*) z momentem teoretycznej inwencji”. A że wypowiedziane jest to z wyraźnym wyrzutem, wypadnie zapytać, czy zasada *theoria cum praxi* jest czymś zdrożnym? Bynajmniej, rzecz jedynie w tym, czy teoria wyjaśnia praktykę, a praktyka czy potwierdza teorię. Geneza i przeznaczenie *Edytorstwa* (jak sądzi autor) uzasadniają taki *modus* opracowania: czytelnik powinien uzyskać wskazania praktyczne niejako podbudowane ową refleksją teoretyczną. A może profesja autora podpowiedziała mu pewien nadmiar teorii? Być może, choć przecież chodziło tu również i o „metodologię edytorstwa”.

Że w dyskutowanym opracowaniu znajdują się, zresztą bardzo oszczędnie podane, zagadnienia językoznawstwa, wiedzy o literaturze, teorii informacji oraz prasoznawstwa, to wydaje się tak oczywiste, że dodatkowe wyjaśnienie czy nawet tłumaczenie tego byłoby w stosunku do nie uprzedzonego czytelnika prostym nietaktem. Zająłem się „Uwagami wstępnymi” SD z nadmierną szczegółowością tylko dlatego, że jego polemika „pomyślana (jest) bardzo szczególnie”; chodziło o podkreślenie tego faktu. W dalszym ciągu ograniczę się do spraw moim zdaniem najważniejszych, by wypowiedzi